

Przegląd Wileński

PISMO POSWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 oprócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 40 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 20 „

$\frac{1}{4}$ „ — 10 „

$\frac{1}{8}$ „ — 5 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

DOKĄD ZMIERZAMY?

Zastraszający jest wzrost nacjonalizmu w całej współczesnej Europie. Zastraszający ze względu na swój osobliwy charakter.

Do wybuchu wojny światowej—w ciągu długich stuleci—zasadniczą cechą wszystkich narodów cywilizowanych był kult *Człowieka*. Doskonalenie się duchowe, sięganie do najwyższych ideałów, do których cała ludzkość dążyła, głęboki humanitaryzm i miłość bliźniego, stanowiąca podstawę chrześcijaństwa i całej kultury chrześcijańskiej,—to była treść najistotniejsza życia narodów. Ona to zgładzała, niwelowała uczucia nienawiści rasowej czy plemiennej, łącząc narody w jedną wielką rodzinę—*ludzkość*.

Te doniedawna jeszcze ogólnoludzkie wartości najwyższe straciły w oczach powojennych społeczeństw swoje walory. Człowieczeństwo, humanitaryzm—pojęcia te zostały wykreślone ze słownictwa dzisiejszego. Faszyzm, bolszewizm, hitleryzm odrzucają kult Człowieka. „Zgleichschaltowane“ narody przestają być członkami wielkiej rodziny ogólnoludzkiej i przekształcają się w *gatunki zoologiczne*. Stąd—czysto zoologiczna nienawiść do innych gatunków, choćby pokrewnych; stąd—podstawowa dążność do płodzenia jak największej ilości osobników swojego gatunku—w celu skuteczniejszego pożerania innych narodów. *Wyścig płodzenia, zbrojenia i niszczenia*—oto podstawowe hasła dzisiejszego nacjonalizmu.

Kto wierzy, że ten nowy rodzaj nacjonalizmu ma nadługo zapanować na świecie, dla tego ginie wszelki sens życia. Nic dziwnego, że dziś w stolicy „zjednoczonej“ Austrii ilość codziennych samobójstw jest wprost zastraszająca. Ludzie, którzy wyrosli w dawnych tradycjach humanitaryzmu, nie widzą dla siebie miejsca w zbestjalizowanym społeczeństwie.

Czy Polska, leżąca pomiędzy największymi ośrodkami bestjalizacji narodów: Niemcami i Sowietami—

mi—uchronić się potrafi od tej zarazy moralnej, tak straszliwie obniżającej godność człowieka? Zdaje się, że pytanie to nabrało już charakteru raczej retorycznego: ostatnie dziesięciolecie w życiu Polski stanowczo stwierdza, iż niestety i tutaj zoologiczny nacjonalizm czyni coraz większe spustoszenia...

Przeszło dwa miesiące minęły od chwili, gdy zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne między Warszawą a Kownem. Toczą się rokowania między przedstawicielami jednego i drugiego rządu o uregulowanie sąsiedzkich stosunków. To i owo dało się już osiągnąć. Sporo kwestyj jeszcze jest nieuregulowanych, ale podobno żadne komplikacje nie są przewidziane.

Tylko w Wilnie i Wileńszczyźnie nie widać najmniejszych zmian. Nienormalny stan, w jakim od paru lat się znajduje miejscowe społeczeństwo litewskie, nie uległ dotąd żadnemu polepszeniu. Dobrze przynajmniej, że nie widać pogorszenia.

Inna byłaby tu teraz atmosfera, gdyby żył Marszałek Piłsudski.

Białorusini we Francji.

Liczba emigrantów z Polski do Francji wynosi podobno około 500.000 osób. Oczywiście, skład narodowościowy tych emigrantów jest nader różnorodny—tak samo, jak skład ludności państwa polskiego. Nie brak tam i Białorusinów—niemal wyłącznie robotników. Białorusini jeszcze nie tak dawno nie figurowali wśród rzesz emigranckich jako samodzielna, wyodrębniona grupa narodowościowa. Roztapiali się oni—katolicy w środowisku polskiem, prawosławni—rosyjskim. Dziś zaszła tu bardzo głęboka zmiana.

Emigranci Białorusini zrzeszają się na gruncie narodowym, tworzą własne organizacje, mają ruchliwych działaczy—co prawda, typu półinteligentkiego, gdyż prawdziwych inteligentów wśród nich brak. Wydają oni własne czasopisma w języku białoruskim, które w sposób prosty i bezpośredni odzwieczają nastroje i kierunki ideowe, panujące wśród emigracji białoruskiej.

Autor niniejszej notatki miał możność zaznajomienia się z dwiema publikacjami, wydawanymi w Paryżu przez emigrantów Białorusinów. Są to perjuryki „Biuletyn” i „Recha”. Obydwa o charakterze *społecznie radykalnym*, lecz jednocześnie szczerze *demokratycznym i narodowym*.

Niejeden z czytelników prawdopodobnie przyjmie moje słowa z pewnym sceptycyzmem: ot — „komunizują” i koniec! Otóż omyli się: białoruskie organizacje emigranckie we Francji nie tylko nie „komunizują”, lecz zajmują najwyraźniej stanowisko, kolidujące z linią polityczną partii komunistycznej. I kolizja ta powstaje przede wszystkim na gruncie walki kompartji z tak-zwanymi „nacedemami” białoruskimi.

Pamiętamy dziwne losy przewodców Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady z Taraszkiewiczem na czele, których sądy polskie za działalność polityczną skazały w swoim czasie na 12 lat ciężkiego więzienia. Po zmniejszeniu przez sąd apelacyjny tej kary o połowę i paroletnim pobycie w więzieniu zostali oni — na skutek starań polskich kół demokratycznych — zwolnieni, lecz sytuacja ich w Polsce, jako ludzi pozbawionych praw obywatelskich, była tak ciężka, iż musieli się ekspatriować i — za zgodą władz sowieckich — wyjechać do Mińska.

Los epigonów „Hramady” — posłów z grupy „Zmahańnia” — był niemal identyczny. Nowa grupa wybrańców narodu białoruskiego (Dworczanin, Hawrylik i inni) powędrowała za kraty, oskarżona już wprost o działalność komunistyczną. I ta grupa również trafiła do Mińska — drogą wymiany jej przez rząd sowiecki na więźniów Polaków.

Minęło kilka lat, podczas których wszyscy ci działacze najlojalniej pracowali na terenie Białorusi Sowieckiej, gdy nagle pękła bomba: w związku z nowym kursem — narodowo-rosyjskim — polityki Stalina wszyscy oni zostali zaaresztowani i deportowani do najodleglejszych miejscowości Sybiru czy Północnej Rosji, jako oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Polski i współpracę z polską defenzywą zarówno podczas działalności na terenie Białorusi Zachodniej, jak i Sowieckiej. Oskarżenie to było oczywiście świadomie kłamliwe, lecz chodziło o to, by tych ludzi, cieszących się, z powodu całej poprzedniej działalności, olbrzymią popularnością w masach białoruskich z obu stron kordonu, pozbawić tej popularności i moralnie zniszczyć.

Czy władze sowieckie, rzucając tak ohydny potwarz na niepotrzebnych już, doniedawna sojuszników ideowych osiągnęły swój cel? O ile chodzi o Białorusi Sowiecką, — nie wiemy. Wiemy natomiast, iż na Zachodzie potwarz nie znalazła najmniejszej wiary i w bardzo znacznej mierze przyczyniła się do osłabienia wpływów komunistycznych w masach białoruskich.

Jak widać ze wspomnianych powyżej publikacji białoruskiej emigracji robotniczej w Paryżu nie wierzą zarzutom tym również i emigranci: wydawane przez nich czasopisma wystąpiły bardzo energicznie z protestem przeciwko szkalowaniu przez władze sowieckie radykalno-narodowych działaczy białoruskich z „Hramady” i „Zmahańnia” i — w związku z postawieniem analogicznych oskarżeń samemu Jagodzie, kierownikowi całej akcji przeciwko „zlikwidowanym” przywódcom Białorusinów, — żądają rehabilitacji Taraszkiewicza i jego towarzyszy. Już z tego jednego wystąpienia jasnym jest chyba, iż emigracja białoruska we Francji nie idzie na pasku komunistów i wręcz staje do walki z nimi.

Walka to ciężka — tem bardziej, iż emigracja białoruska znikąd nie ma poparcia...

H. B.

„Duszochwaty”.

Mołodeczno oddawna zajmowało moją uwagę. Kto uczył się jeszcze w szkołach rosyjskich, nierzadko miał wśród nauczycieli wychowanków nauczycielskiego seminarjum w Mołodecznie. I ja miałem takiego i wtedy pierwszy raz o moje uszy oblała się oryginalnie a ciekawie brzmiąca nazwa tej mieściny. Poznałem ją dopiero w tygodniach ostatnich.

Mołodeczno, ruchliwy węzeł kolejowy, będący ważną arterją Białorusi, dziś nie posiada ani śladu dawnego życia. Obszerne ongi lasy, wpierv Ogińskich, potem Tyszkiewiczów, przeszły czasu wojny światowej niejedno, co im nie wyszło wcale na dobre. Największym obszarnikiem rosyjskim był tu przed laty kurator szkolny Siergiejewskij. Niema tu dziś budowli starszych, a sięgających poza wiek XVIII.

Istnieją słabe już wspomnienia o pracujących w Mołodecznie Trynitarzach, krótkim pobycie Napoleona, szkole publicznej, wreszcie centralnej rektyfikacji dla powiatu wilejskiego. To są jednak wszystko pozycje przeszłości, można powiedzieć, zamknięte już na zawsze. Dały, co (lub ile) mogły dać miasteczku i jego okolicom. Więc oświatę, akcję charytatywną, splendor towarzyski, melancholję wspomnień, możność zarobkowania...

Czy jednak dziś niema w Mołodecznie i jego zasięgu ludzi, którzy swoją akcją też każą mówić o sobie i budzą uczucia najsprzeczniejsze od zachwytu do oburzenia? Owszem. Rozgłośnie jest dziś w Mołodecznie i dalekim promieniu wokół nazwisko miejscowego kapelana wojskowego, przybysza podobno aż z diecezji przemyskiej, ks. Michała Zawadzkiego. Gorący ten spadkobierca dawnych obozowych kapelanów uważa na serjo, że Bóg mu powierzył misję przerobienia rdzennie białoruskiej ludności miejscowej jak najprędzej na stuprocentowych Polaków. W czas więc i niewczas wmawia się tu kmiotkom białoruskim, że ich jeśli nie ojcowie, to napewno dziadowie byli *pur sang* Polakami z krwi i ducha i absolutnie niczem się nie różnili od Polaków z nad Sanu, Wisły i Gopła. Że tylko obrzydliwy azjata i kacap — Moskal, na złość Polakom, przerobił ich na poczekaniu na jakichś tam pomyłonych Białorusinów, zgola niepotrzebnych ani Kościołowi, ani też Macierzy Polskiej.

W tym celu ks. Zawadzki uprawia w Mołodecznie masowe a przymusowe zaopatrywanie ludności tułejszej w herby państwowe, które raz rozdane powinny odtąd zdobić już zawsze każdą chatę. Oczywiście obok tego pokarmu dla ducha, natchniony misjonarz zatroszczył się również o rozdawnictwo ludowi mąki. Tak wobec niemałych a ponętnych pokus stanęła dziś ludność mołodeczańska. Jak widzimy, wytrawny kusiciel wzoruje się dość wiernie na ewangelji, naśladowując z niej niedościgły dlań pierwowzór. Może też kolejną pokusą będzie zapowiedź traktorów, które Mołodeczno zadziwi zniecka całą ziemię wileńską...

Natomiast rzeczywistą jest ukazywanie ludowi mołodeczańskiemu w bliskiej perspektywie takiego dobrobytu, o jakim mu nawet się nie śniło... Zaiste łatwo dziś wiele obiecywać, jeśli można całą odpowiedzialność za ziszczenie swych obietnic przerzucić na coraz bardziej etatystyczny ustrój.

Nieopodal Mołodeczna, w cichej plebanji nad Uszą z godną lepszej sprawy wytrwałością, z żelazną a upartą konsekwencją, ze sprytnie przemyślanym programem, pracuje znowu ks. Karol Lubianiec, jedyny prałat wileński, który poszedł sobie ofiarnie w lud białoruski, nie bacząc na swe lata, wiele niewygod

i nader trudną pracę. Bowiem od dawien dawna przyświeca mu zbrożna w przekonaniu każdego endecka idea spolszczenia przez Kościół katolicki Białorusina katolika, a nawrócenia na obrządek łaciński i też spolszczenia każdego jego brata i ziomka wyznania prawosławnego. Już odbyły się dwa zjazdy w tej sprawie.

Cała ta akcja, chociaż przechwała się statystyką nawróconych przez siebie i zasłania dobrem prawem nawracającego się wybrać obrządek ten lub inny według życzenia, co nawet sam Rzym gwarantuje, tchnie taką nieszczerością, zakłamaniem, nawet złośliwością względem naszych braci prawosławnych (posługiwali się wszak sami papieże terminem *fratres separati*), że dyskredytuje całkowicie misyjną działalność Kościoła w oczach każdego wrażliwego obserwatora, nie mówiąc już o prawosławnych. W chwili obecnej *jedynym* bowiem motywem przejścia prawosławnego Białorusina na obrządek łaciński jest tak mało wartościowy dla życia religijnego impuls, jak zawarcie małżeństwa lub otrzymanie posady rządowej. Pozyskani tą drogą nowi łacinnicy i oczywiście świeżo upieczeni „Polacy” zrywają z prawosławiem, nie stając się jednocześnie bynajmniej katolikami naprawdę. Wobec powyższego, — a tego nie zaprzeczy mi nawet endeck, jeśli ma otwarte oczy wobec rzeczywistości codziennej — nie ma nazwy właściwszej dla takiej metody „nawracania”, jak masowa produkcja bezwyznaniowców i ateuszów. Jest to typowe szkodnictwo. Osłabia ono tylko Kościół, a Cerkiew, ponosząc straty liczebne, oczyszcza się od członków nadgniłych.

Z uczuciem dużego niesmaku, przybity widokiem roboty, która pogłębia tylko przepaść między dziećmi jednej ziemi białoruskiej, acz różnego wyznania, wszedłem w Mołodecznie do pociągu wileńskiego.

Duszochwaty wieku XX niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli...

Tutejszy.

Przekleństwo złoczyńcy.

Jeszcze raz znane powiedzenie Goethego o tem, że złoczyńca rodzi tylko zło i ściągać przekleństwa, sprawdziło się w życiu Wilna. Wszyscy pamiętamy to przygnębiające wrażenie, jakie wywarł na społeczeństwo samosąd, dokonany w redakcji „Dziennika Wileńskiego” przez grono oficerów. Prasa endecka poświęciła temu zajściu dużo miejsca, podkreślając jego charakter sprzeczny jaskrawo z praworządnością, która powinna cechować Rzeczpospolitą Polską.

Kogóż jednak mogła poruszyć ta endecka gadanina i pisanina o praworządności?!

Czyż od lat już kilku nie dzieją się w Wilnie takie bezprawia z ludnością żydowską?! Czy nie napaada się bezbronych, nie bije się ich do krwi, nie znieważa się ich godności ludzkiej, nie wyrządza się im wciąż nowych szkód materialnych, tłukąc kosztowne szyby wystawowe i niszcząc towar i mienie?

Endecja, jeśliby tylko szczerze chciała, mogłaby, mając za sobą cały kler katolicki, aż nadto łatwo nadać rozpoczętej przez siebie akcji odżydzenia Wilna formy o wiele przyzwoitsze. Nietylko tego nie czyniła, ale nie zgañiła tych bezceństw nawet jednym słowem. Jeśli chodzi o Żyda, to napaść na niego nie jest dla endecji napaścią. Bicie Żyda nie jest samowolą i samosądem. Krzywda Żyda nie jest właściwie krzywda. Obraza godności ludzkiej Żyda nie jest wca-

le obrazą. Strata Żyda nie jest godna nawet oszacowania. Krew, łzy Żyda nie są już warte żadnej uwagi i względu.

Czytając prasę endecką w Wilnie, człowiek nieraz zadaje sobie pytanie: czyż endecja w Wilnie składa się z samych mętów ulicznych, przysięgłych a stałych uczestników wszelkich burd antyżydowskich? Czyż nie należy do niej w Wilnie szereg też ludzi znanych i poważanych, którzy nie mogą nigdy pisać się na podobne metody? Czyż nie jest zadaniem prawdziwych narodowców czynić coś w poczuciu odpowiedzialności dla swej młodszej braci (rzesz robotniczych, mieszczańskich), by ją wychować, uobywatelić, nauczyć pewnych cnót społecznych, m. in. poczucia karności, odpowiedzialności? Pochwalając z reguły wszystkie ohydne wyczyny motłochu ulicznego w Wilnie, gdy występuje ten przeciw Żydom, endecja jest siewcą demoralizacji, rozprzężenia, rozbestwienia i wykonywa bezwiednie robotę na rzecz anarchii.

Wystarczyło jednak napaści krewkich synów Marsa na członków redakcji „Dziennika Wileńskiego”, by nagle rozległ się w endecji gromki zew o praworządności, poszanowaniu wolności obywatelskiej, nietykalności życia i mienia i innych pięknych cnotach społeczeństw prawdziwie kulturalnych i rzeczywiście demokratycznych. Czyście jednak wy, panowie endecy, sieli kiedy te cnoty w Wilnie, gdzie przez tyle lat trzymaliście bezkonkurencyjny monopol na posiadanie prasy polskiej dla szerokich rzesz ludu wileńskiego, że dziś macie prawo stawać do zbierania należnych wam plonów? Nie. Sieliście wiatry, zbieracie burze. Raz podniesiona bezkarnie ręka na zdrowie i mienie bliźniego — Żyda, nie zatrzyma się przy okazji przed rodakiem. Wymierzona kłonicą w szybę lub okienicę żydowską, trafi też prędko w okno domostwa chrześcijańskiego. Raz wypuszczonych żywiolów niszczących nikt nie potrafi już ujarzmić lub zamknąć. Nie pomogą tu ani miechy legendarne, ani klatki żelazne.

Musi spełnić się tu stare prawo dziejowe, że złoczyńca rodzi przekleństwo.

Sonderling.

POLEMIKA.

Zła wola.

Czasami jest się w prasie i stosunkach z ludźmi świadkami takiej złej woli i umyślnie opacznych tłumaczenia czyichś najwykleszych słów, że ręce opadają nie ma się ochoty sprostowywać zaczynając: „nieprawdą jest że..., natomiast prawdą jest” i t.d.

Ale trudno. Czasami trzeba.

W Nr. 2 „Przeglądu Wileńskiego” z dn. 15 kwietnia p. A. Ł. pisze, że ja „ze świadomą złośliwością sugeruję polskiemu społeczeństwu (we wspomnieniu o ś. p. Z. Nagrodzkim), że p. Nagrodzki nie z własnej woli, ale z *musu* (?), deklamował wiersze białoruskie na publicznych wieczorkach rzemieślniczych, bo władze rosyjskie, niepozwalające na polskie deklamacje, „dawały z łatwością pozwolenia na białoruskie”. Potem następują długie wywody o tem, że wiersze Bohuszewicza były nielegalne, i dlatego drukowane były za granicą, że Nagrodzki deklamował je tylko konspiracyjnie i t.d.

Otóż, w czem widzi p. A. Ł. moją „świadomą

złościwość", nie silę się zrozumieć. Ale stwierdzam, że 1) nie wszystkie wiersze Bohuszewicza były nielegalne, z pewnością humorystyczne „Ihryszcze” i t. p. niemi nie były, 2) drukowano je zagranicą, bo na żaden druk łaciński w Wilnie nie pozwalano, 3) sły-
szałam deklamację p. Nagrodzkiego w publicznej sali przed wieczorkiem rzemieślniczym, kiedy w stroju wieśniaka. wygłaszał humorystyczne białoruskie wiersze, i mówiono mi, że dostał pozwolenie. Zrozumiałe jest, że w programie rusyfikacyjnym władze rosyjskie uważały białoruskość za mniejsze niebezpieczeństwo albo żadne, w porównaniu do wszystkiego, co polskie. Tak np. bywały przedstawienia teatru małoruskiego.

Autor artykułu jest zięjący złością, nie rozumiem o co? Nie zna widocznie Wilnian, gdyż wiedziałby, jak dalece zawsze sprzyjałam ruchom ludowym i jak dalece jestem życzliwą używaniu białoruszczyzny, czego dowodem, między innymi, że się niedawno domagałam audycji białoruskich w radio.

Ś. p. Nagrodzki, działacz i konspirator polski, bez żadnego musu. (Co tu wogóle mus ma do roboty). Mus z czyjej strony? Rządu rosyjskiego? Czy mógł ktoś do tego zmusić p. Nagrodzkiego? Otóż bez żadnego musu *deklamował publicznie*. Odrzucam więc posądzenie mnie o „złośliwe spaczenie historycznej prawdy”, jak patetycznie pisze p. A. Ł.

Hel. Romer.

Etsi movetur!...

Jestem wdzięczny P. Redaktorowi, że zechciał zamieścić w swem poczytnym piśmie tę polemikę. Dzięki wystąpieniu p. H. Romer, zostało całkowicie potwierdzone moje oświadczenie że ś. p. Zygmunt Nagrodzki nie z musu, nie dlatego, że „na to można było dostać pozwolenie”, a na polskie deklamacje—nie, lecz z własnej i nieprzymuszonej woli, powiem więcej: ze szczerzej sympatji do ludu białoruskiego—występował na wieczorkach rzemieślniczych w Wilnie w stroju wieśniaka białoruskiego, deklamując wiersze białoruskie. W ten sposób p. Romer cofnęła się z zajętego przez nią w nekrologu stanowiska—o ile chodzi o osobę ś. p. Nagrodzkiego i o jego stosunek do białoruskości.

Nie cofa się wszakże szanowna autorka ze swego błędnego stanowiska w sprawie oświecenia panujących przed rokiem 1905 *stosunków politycznych* w naszym kraju, twierdząc najniestęśniej dalej, iż władze rosyjskie bardziej przychylnie odnosiły się podówczas do białoruskości, niż do polskości. Do tak śmiałego twierdzenia upoważnia ją wspomnienie z przed 35-ciu lat, iż „mówiono” jej, że ś. p. Nagrodzki na deklamację białoruską dostał pozwolenie. Jest to tem dziwniejsze, że po przesłaniu swego listu do redakcji „Przeł. Wil.” p. Romer oświadczyła w osobistej rozmowie ze mną, że faktu dania pozwolenia na deklamację białoruską ś. p. Nagrodzkiemu *nie generalizuje*, gdyż pamięta, iż w owych czasach za pomocą fortełłów można było uzyskać w poszczególnych wypadkach pozwolenie na to, na co normalnie pozwolenie *nie dawano*...

Twierdząc z całą stanowczością raz jeszcze, że przed rokiem 1905 (do wybuchu rewolucji) gubernator wileński pozwolenia na imprezy białoruskie *zasadniczo* nikomu nie udzielał. Podać mogę między innymi fakt, iż nawet na imprezę *pod patronatem naczelnika ziemskiego i wielkiego posiadacza ziemskiego*, a więc w oczach władz ultralojalnego, Andrzeja Śnit-

ki w Radoszkowiczach, gubernator wileński odmówił pozwolenia, *ponieważ miał tam być odegrany utwór dramatyczny Jadwihina Sz. (Antoniego Lewickiego) w języku białoruskim p. t. „Złodziej”*. Natomiast w tych że Radoszkowiczach latem r. 1905 (przed wybuchem rewolucji) byłem obecny na imprezie, która w programie swym obok numerów rosyjskich miała komedyjkę *polską*.

W rozmowie ze mną p. Romer oświadczyła, że czuje się pokrzywdzoną zarzutem złościwości i wogóle *nie może zrozumieć*, jak z jej zdania: „bo na to można było dostać pozwolenie” mogłem wysnuć swoje wnioski. Ostatnie oświadczenie przekonało mię w zupełności, że istotnie *o złościwości ze strony autorki nekrologu nie może być mowy*, i stwierdzam to najlojalniej publicznie. Nie przestaję jednak kwalifikować zarówno pomienionego niefortunnego zdania, jak i podanego powyżej listu, jako *nieprzemysłanych i nieogłędnych, całkowicie usprawiedliwiających mój artykuł „Po co oni to robią?”*

Mimoходом zaznaczam, iż popularny wiersz białoruski „Panskaje ihryszcza” nie jest utworem Bohuszewicza, jak mylnie sądzi p. Romer, lecz wyszedł z pod pióra Adama Hurynowicza („Jurki”). Wiersz ten zamieszczony został w zbiorze wierszów Bohuszewicza wraz z wierszowaną odpowiedzią jego „Jurcy”, gdyż odpowiedź bez podania nigdzie przed tem nie drukowanego wiersza „Jurki” byłaby niezrozumiała.

A. Ł.

Pokłosie pięciowiekowego jubileuszu kapituły wileńskiej.

Wspaniały jubileusz odświęciła uroczystie czcigodna kapituła wileńska d. 7.V.38 r. Jak daleko odbiega on od tych do znudzenia częstych, a przeto zbytecznych 10-, 15-, 20-leci... Ma się jednak nieodparte wrażenie, że decyzja obchodu zapadła i nieoczekiwanie i późno, że brakowało już czasu na większe doń przygotowanie się i musiano poprzestać na programie minimalnym. Ta jednak zwięzłość i krótkość też są nie bez uroku. Co przetrwało lat pięćset pięćdziesiąt w warunkach naprawdę nieraz ciężkich, nie będzie oczywiście gonić za efektem zewnętrznym.

W jubileuszu kapituły wileńskiej wziął udział pośredni sam Ojciec św. przysyłając przez sekretarza stanu kard. Pacellego błogosławieństwo apostolskie dla jej członków na ręce bpa sufr. Michalkiewicza, który jako dziekan kapituły prosił o tę łaskę, w zastępstwie chorego jej prepozyta ks. prałata Jana Hanusowicza. W kościelnym znowu obchodzie jubileuszu w bazylice uderzała zebranych nieobecność najwyższego w archidiecezji czynnika, ordynariusza, który w tym dniu był akurat w Lidzie i Dubiczach i wrócił do Wilna dopiero wieczorem, gdy zaszczycił swą obecnością akademię jubileuszową w pięknej sali bibliotecznej wileńskiego seminarium duchownego. Z wyjątkiem kilku najbliższych dziekanów, rektora U.S.B. i in. nie przybył żaden z zaproszonych gości pozamiejscowych. Nie widziało się nawet delegatów sąsiednich kapituł, łomżyńskiej i pińskiej. Wieczera jubileuszowa też nie zgromadziła nawet połowy zaproszonych.

Większe artykuły, domniemanie jednego pióra, a dające bardzo pobieżny rzut historyczny dziejów kapituły wileńskiej zamieściły półurzędowy organ wi-

leńskiej kurji metropolitalnej „Głos Narodowy” i antysemitcko-ziemiańskie „Słowo”. Niedosć wybitnie uwypukliły one to, co właściwie jest najciekawszego w dziejach kapituły wileńskiej, czyli całą ewolucję, jaką przeżyła ta rada duchowna przy boku biskupów wileńskich. A więc stopniowy wzrost wpływów, szczytowy ich moment, kolejny po tem upadek. Od soboru w Trydencie, jeszcze może więcej od Watykańskiego, uwidoczni się w Kościele coraz bardziej tendencja centralistyczna, która oczywiście ułatwia ogromnie sprawowanie rządów nad tak rozgałęzioną instytucją, jak *Ecclesia Romana*. Władza biskupia wzrasta nieustannie tak *de iure*, jak *de facto*. „Kościół,—jak mówi w swych wspomnieniach Bogdan Hutten Czapski*—wbrew swej monarchicznej formie, jest właściwie republiką oligarchiczną. Jak wszystkie jego siostry w historii ma on skłonność do stania się *république fermée* i obezwładnienia wszystkich”, którzy nie są podmiotem władzy. Nowy kodeks prawa kanonicznego przyznaje b. skromną rolę kapitułom współczesnym, sprowadzającą się zaledwie do tego, że pewne zarządzenia wydaje zwierzchnik diecezji *audito capitulo*, co w praktyce znaczy już nader mało, jeśli nie nic.

Kanonik honorowy naszej kapituły, ś. p. ks. dr. Zygmunt Lewicki, skłonny raczej do przesady w respektowaniu wszelkiej władzy świeckiej i duchownej, oburzał się jednak do żywego na te resztki dawnego znaczenia, jakie zostały dziś kapitule wileńskiej w spadku po wielkości minionej. „A jednak—mówił nieboszczyk—niektóre kapituły biskupie w Niemczech i Austrii, umiały nawet po wyjściu nowego kodeksu prawa kanonicznego obronić i zachować niemałą część swych dawnych prerogatyw i wpływu nawet na nominacje biskupów diecezjalnych przez prawo prezenty swoich kandydatów!”... *Kapituła* wszak pochodzi nie od *kapitulacji*...

Artykuły jubileuszowe wyrażały słuszne ubolewanie, że w kapitule wileńskiej znalazło się w drugiej połowie w. XIX kilku brzydkich a tchórzliwych intruzów, którzy swój pierwotny, mniej lub większy, udział w powstaniu r. 63 usiłowali później zmasać z dobrym skutkiem nędznym służalstwem u rządu rosyjskiego. Wśród nazwisk tych członków kapituły, co mężnie bronili u nas Kościoła, słusznie nie zostało pominięte nazwisko prał. Bajki, który dzielnie się spisał po wywiezieniu bpa Zwierowicza, acz sam posiadał ideologję narodowo-państwową dość mętną, czemu dawał często wyraz aż nadto dosadny. Żle za to jest, że nie znalazło się wśród wymienionych ś. p. ks. kan. Majewskiego, który posiadał nieporównanie jasną głowę i nieprzeciętne zdolności polemiczne.

Smutną, a mało budującą kartą w historii diecezji wileńskiej jest stanowisko kleru polskiego właśnie z kapitułą na czele w okresie rządów diecezją ś. p. bpa Matulewicza. Pokrywało się ono bez reszty ze stanowiskiem endecji wileńskiej. Głęboko obrażone niem wtedy poczucie katolickie ogółu nie otrzymało dotychczas satysfakcji należytej, co się mści i obecnie na życiu kleru archidiecezjalnego, wśród którego wciąż się słyszy mocne utyskiwania na duży upadek życia braterskiego i solidarności stanowej.

Należy też wytknąć, że w drukowanym programie jubileuszu kapituły wileńskiej niema zgoła wzmianki o tem, czy i kiedy w bazylice wileńskiej odbyły się nabożeństwa żałobne za dusze Wł. Jagiełły i Witolda, którym tyle ona zawdzięczała i zawdzięcza, jak też za

dusze wszystkich zmarłych członków kapituły. „Przeżyjemy życie umarłych”, mówi Comte, więc od współczesnych należy się bezsprzecznie ta forma hołdu, wdzięczności i pamięci tym, co zostawili im tytuły, dotacje, akta, domy, togi i inne splendory i korzyści.

Trwałą a pożyteczną pamiątką minionego jubileuszu kapituły mogłoby być ogłoszenie drukiem inauguracyjnej akademję jubileuszową przemowy sekretarza kapituły ks. kan. L. Żebrowskiego, jak też wygłoszonego potem referatu historycznego ks. prof. Cz. Falkowskiego, co oczywiście nie zastąpi nigdy potrzeby monografji, na jaką kapituła wileńska niewątpliwie zasłużyła.

P. Kantryba.

Historyk Brasławszczyzny.

Minął rok, — pisze w „Ziemi Lidzkiej” Aleksander Śnieżko — gdy 16 maja 1937 r. odszedł od nas na zawsze Otton Hedemann, historyk Podzwinią. (Zmarł po ciężkiej operacji w szpitalu kolejowym w Wilnie).

Nazwisko to dało się poznać w ostatnich latach, gdy jako skromny nauczyciel ludowy, pracując w Brasławszczyźnie — zakażony zabitym deskami od świata, zaczął z wielkim dla kraju i historii ojczyzny pożytkiem, z niezwykłą sumiennością badać zapomniane archiwa: kościelne, cerkiewne i prywatne, aby wyświetlić prawdę zaginionej przeszłości dziejów ziemi naszej.

Dnia 18 maja, odbył się jego skromny pogrzeb na wileńskim cmentarzu ewangelickim. W dniu tym żałobnym z prawdziwym żalem żegnany był nie tylko przez najbliższą rodzinę, lecz także przez miejscowych historyków i miłośników przeszłości krajowej.

Był to człowiek szlachetny, nadzwyczaj inteligentny, odznaczał się niestęchaną skrupulatnością i sumiennością w swych pracach naukowych.

Był przedewszystkiem idealistą, który mimo wytężonej pracy nie zrobił kariery.

Urodził się dnia 29 kwietnia 1887 r., jak sam powiada, w „głuchym centrum wschodniego Polesia”.

Pochodził ze szlacheckiej duńskiej rodziny. Ojciec jego, Magnus Jan Hedemann, jako inżynier-meljorator i meteorolog z zawodu, sprowadzony został z Danji przez rząd rosyjski do pomocy gen. Żylińskiemu. Pracując w t. zw. „zachodniej ekspedycji” przy osuszaniu błot w Mińszczyźnie i na Polesiu, wkrótce pokochał ten kraj i ludzi, i osiadł tu na stałe, w nabytym folwarku „Nowinki” pod Homlem, żeniąc się z Polką Jadwigą Andrzejewską.

Otton Hedemann, po ukończeniu gimnazjum klasycznego w Homlu, pojechał do Kijowa i tam studiował na wydziale historyczno-filologicznym. Po studiach, powrócił do rodzinnego domu i zajął się gospodarstwem wiejskim, które prowadził wzorowo.

Po wojnie i bardzo ciężkich przejściach w r. 1922 przybył Otton Hedemann do Polski, i tu w stronach swej matki, w powiecie brasławskim objął skromną posadę nauczyciela szkoły powszechnej. Z początku skromny ten nauczyciel ludowy z wykształceniem uniwersyteckim, czuł, że wiedza, jaką posiada, nie ma ujęcia w tym ciasnym kręgu nowych obowiązków, zdala od świata kulturalnego. To też z ciekawością

*) Firmowy katolik i nawet Balliw-Profes zakonu Maltańskiego.

zaczął rozglądać się po ludziach i okolicy, dokąd nie-
bacznie rzuciły go losy.

I oto odkrywa wiekowym pyłem przysypaną,
piękną i bogatą przeszłość historyczną ziemi, na któ-
rą rzadko kto zwracał uwagę.

Zainteresowanie się jego przeszłością ziemi i su-
mienność w wykonaniu obowiązków, zwróciły uwagę
ówczesnego inspektora szkolnego pow. Brasławskiego
Kazimierza Pruchnika. Ten pragnąc dać nauczyciel-
stwu monografię o pow. Brasławskim, celem ułatwie-
nia nauczania o przeszłości lokalnej, wymaganej przez
program szkolny, powierzył opracowanie jej Hede-
mannowi, wyjednywując dlań płatny urlop. W wybo-
rze swym nie omylił się, lecz przeciwnie, odkrył dla
nauki wytrawnego pracownika.

Jesienią 1928 r. Otton Hedemann ze swemi
sposrzeniami i notatkami przybył do Wilna, i tu
zabrał się z zapałem do mrówczej pracy w archi-
wach i bibliotekach.

Głównie go pociągnęły tematy, dotyczące ziem
położonych nad Dźwiną. Początkowo szło mu to tru-
dno. Wychowany i wykształcony w Rosji, nie miał
możliwości należytego wykształcenia swej polszczyzny.
Wkrótce jednak szybko pokonał wszelkie trud-
ności.

Po dwuletniej pracy w archiwach uzbierała się
spora wiązanka notatek z których wyrosło dzieło
monograficzne: „*Historja powiatu brasławskiego*”.

Książka ta, obficie ilustrowana z mapami, jest
pierwszą poważną pozycją bibliograficzną Hedemanna.

Po Brasławszczyźnie, Otton Hedemann, uzbro-
jony w doświadczenie ostatnich dwóch lat, przerzuca
swe zainteresowanie na wschód, na Dźwinę i Druję.

Powstaje więc drugie wielkie dzieło: „*Dzisiaj
i Druja, magdeburskie miasta*”.

Pomimo ogromu materiału o Dziesieszczyźnie,
Otton Hedemann, podjął się sam samodzielnego op-
racowania całości i z próby wyszedł zwycięsko.

Obywatele m. Dżisny, w dowód wdzięczności
za książkę im poświęconą, w mieście tem jedną z ulic
nazwali jego imieniem.

Wspomnienie lat dziecinnych, spędzonych przy
ojcu, wśród puszczy i wód poleskich skierowuje myśl
Otona Hedemanna po „*Dzisiaj i Druja*” na inne to-
ry. Otóż w kurzu archiwalnym zrodziła się z kolei
trzecia żmudna praca „*Dawne puszcze i wody*”, opi-
sująca krainę 33 puszczy Podzwinia. Książka ta jest
raczej rozwinięciem i uzupełnieniem rozdziału o han-
dlu leśnym „*Dzisiaj*”.

W roku następnym (1935), Otton Hedemann
napisał trzy mniejsze rozprawy: „*Głębokie*”, „*Graf Ma-
nuzzi*” i „*Testamenty*”.

Prócz wyżej omawianych dzieł, wydanych dru-
kiem, Otton Hedemann pozostawił szereg drobniej-
szych artykułów rozsypanych w „*Ziemi*” i „*Echach
Leśnych*”, których był stałym współpracownikiem.

Na ogół biorąc, Otton Hedemann w ciągu nie-
długich lat swej pracy naukowej dał polskiej litera-
turze historycznej prace kapitalne, które będą stan-
owiły dla innych zachętę do głębszego zbadania
przeszłości naszych ziem.

Odnaczenia nie otrzymał. Tylko po śmierci, na
mogile postawiono mu prosty, cmentarny krzyżek
drewniany z białą tabliczką, na której widnieje skro-
mny czarny napis „*S. p. Otton Hedemann, zmarł 16
maja 1937 r. przeżywszy lat 50*”.

Przyczynek do życiorysu metropolity Rutskiego.

Świeżo Muzeum Białoruskie im. Iwana Łuckiewicza w Wil-
nie nabyło cenny a ciekawy dokument życiorysu metropolity
gr.-kat. Józefa Rutskiego. Jest nim oryginał listu króla Zygmun-
ta III. do mieszczan wileńskich, jacy zostali oskarżeni przez Rut-
skiego o czyhanie na jego życie. Dokument ten, uszkodzony
w kilku miejscach, podajemy niżej w przekładzie dosłownym z je-
zyka aktowego, wykropkowując tylko miejsca zniszczone lub po-
strzępione, przeto nieczytelne.

„Zygmunt III z Bożej Łaski król Polski, Wielki Książę
Litewski, Ruski, Pruski, Żmudzki, Mazowiecki, Inflancki a Szwedzki...
król dziedziczny.

Wymienionym naszym mieszczanom miasta wileńskiego
sławetnym Iwanowi Tupecu, Izaakowi Kononowiczowi, Szymo-
nowi Krasowskiemu, Piotrowi Kopciowi, Szymonowi Nowgorod-
cowi.—Zdawał z tego sprawę i skarżył się nasz archimandryta
wileńskiego monasteru św. Trójcy ojciec Józef Weljamin Putski,
żeście wy, powziawszy do niego niewinnie złość, czynicie mu
zarzuty i pogroźki, i nastajecie na jego zdrowie, obmyślając w
różny sposób, jak moglibyście przyprowadzić go o śmierć lub...
jakąś. Nie będąc wobec tego bezpiecznym od was, uciekł się
on do nas, swego władcy z prośbą czołobitną, abyśmy wzięwszy
go pod opiekę naszą, rozkazali wydać według prawa list nasz
odręczny do was o zabezpieczeniu jego zdrowia. A więc my,
władca, biorąc to pod uwagę i dążąc ku temu, by każdy z pod-
danych naszych zżywał pod szczęśliwym panowaniem naszym
spokoju, rozkazujemy wam wszystkim razem i każdemu z osoba-
na, iż będzie... (Rutskiemu nie czynili zarzutów i pogroźek...),
ustosunkowali się do niego spokojnie pod groźbą kary... sied-
miu kop groszy litewskich, dochodzili swego, jeśliby co było...
prawnie, a nic nie czynili jemu samodzielnie a bezprawnie...”

...W Krakowie roku od Narodzenia Bożego tysiąc sześćset
dziewiątego miesiąca kwietnia...

Sigismundus Rex

(M. P.)

Jerzy S(m?)olicz
(pisarz)“.—

Bibliografja.

Worotyński Wiktor dr. *Seminarjum główne
w Wilnie.* Drugi okres dziejów i zniesienie (1816—
1833). Wilno, 1938 (Studja Teologiczne X).

Przed trzema laty zdawaliśmy sprawę z części
pierwszej tej cennej monografji naukowej, która oma-
wiała powstanie i okres dziejów Seminarjum Głównego
w Wilnie w ll. 1803—1816. Dziś serdecznie się
cieszymy, widząc że tak ważna a potrzebna praca zo-
stała przez pierwszego naszego doktora teologii—laika
doprowadzona szczęśliwie do końca. Jeszcze jedna
wyższa, a odrębna już swoją strukturą uczelnia w Wil-
nie doczekała się opracowania gruntownego, do któ-
rego badacze przeszłości krajowej napewno nieraz
będą zaglądać, szukając wiadomości źródłowych o rze-
czach i osobach.

Rzecz naturalna a słuszna, że wzrosły odpowie-
dnio przy tem szlachetne ambicje monografisty, który
tak pisze o sobie: „Mając za sobą nietylko studja
teologiczne, odbyte na Uniwersytecie Stefana Batorego
w Wilnie, ale i studja humanistyczne, odbyte na
Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie, przy-
stępuję do kontynuowania tej pracy, którą przedwcześ-
nie zmuszony był przerwać ś. p. prof. Ludwik Ja-
nowski”. Chodzi właśnie o „przedstawienie całości
dziejów zarówno-ustrojowo-organizacyjnych, jak lite-
racko-naukowych i obyczajowych Wszechnicy Wileń-
skiej w najświetniejszym jej okresie”. Szczęść Boże!

O samej rzetelności pracy dr. Worotyńskiego
(obfitości i przestudjowaniu źródeł i innych walorach
jego techniki pisarskiej) mówiliśmy po wyjściu pierw-
szego tomu i powtarzać się dziś nie będziemy. Poru-

szymy natomiast parę kwestyj, jakie nasunęła lektura historii *Seminarium Generalis*. Zaczniemy od drobiazgów. Rażą nas nasamprzód niedość psychologicznie pogłębiane, a przytaczane przez autora bez żadnych zastrzeżeń sądy w rodzaju: „Wszyscy(!) znajdujący się obecnie w Seminarjum alumni są—jak świadczy zwierzchność seminarjalna—obyczajni i przykładni, uczą się pilnie i dobre rokują nadzieje”. Mniej jest właściwe w pracy naukowej nazywanie kapłana obrz. gr.-kat. „popem unickim”, wszak za popa obrażają się, i słusznie, nawet kapłani dyzuniccy. Gdzieindziej znowu świątynię gr.-kat. nazywa autor poprostu *kościółem*, co dezorientuje czytelnika. Zdanie: „Bobrowski..., był proboszczem kościoła św. Mikołaja, dziekanem wileńskim”... ma oznaczać u dr. Worotyńskiego... ówczesną gr.-kat. cerkiew Przeniesienia relikwii św. Mikołaja Cudotwórcy przy ul. Wielkiej!

Nie możemy odmówić sobie przyjemności przytoczenia tu, jak rektor, słynny prałat Mamert z Fulsztyna Herbut, określał cel istnienia Seminarium Głównego. W duchu tamtych czasów brzmiał on tak: „Wydawanie prawdziwie pożytecznych Kościołowi, a miłych Bogu i ludziom subjektów”... Niesamowite też rzeczy znajdzie czytelnik o biskupie mińskim Mateuszu Lipskim, który „jednego ze swoich uczniów usiłował poprostu zmusić do kapłaństwa”... Niespodzianką prawdziwą jest wiadomość, że na dawnym wydziale teologicznym w Wilnie uczoło już „...historji dogmatów”, której niema na tymże wydziale w r. 1938... Ciekawie też wygląda w programie nauk ówczesnych zagadkowa nieco „polska i grecka logika”...

Następnie zauważyliśmy całkowite pominięcie w charakterystyce postaci prof. Michała Bobrowskiego co pisały o nim: ukraińskie *Analecta Ordinis S. Basilii Magni, Lietuviškoji Enciklopedija*, białoruskie „*Kałosja*”. Widocznie nie wie też nic dr. Worotyński, że biblioteka seminarium Duchownego w Kownie posiada dużo rękopisów prof. Jana Chryzostoma Gintyły, o którym znalazłoby się również coś w zbiorach Litewskiego Towarzystwa Naukowego w Wilnie.

Entuzjazmu autora dla prof. Jędrzeja Benedykta Kłagiewicza („Był to bowiem filar, o który cała wileńska budowla teologiczna się opierała”) wcale nie podzielamy, uważając tę postać i nadal za zagadkową, a czekającą jeszcze na zbadanie wszechstronne. Charakterystyka prof. Jana Skidełła pełna jest oczywistych sprzeczności, które wykluczają siebie nawzajem. W sylwetce prof. Alojzego Cappelliego nie jest całkiem uwzględniony związek a kompletny życiorys jego, skreślony przez prof. M. Birziszkę w *Lietuvišk. Enciklopedija*.

Dr. Worotyński obciążył — czy słusznie? — swą rozprawę naukową serwitutem wykazania, za wszelką cenę, że wileńskie Seminarium Głównie nic a nic nie miało wspólnego z józefinizmem. Istotnie pod względem prawowierności wyznaniowej ta parantela dla nikogo nie może być pożądaną. Jednak inną jest zgoła natura historii. Dla niej taki szczegół, że ongi w tej uczelni duchownej jakieś tam wpływy józefinistyczne ujawniały się w wykładach niektórych profesorów (choćby Cappelliego) i w podręcznikach, albo że swego czasu w kapitule wileńskiej zasiadło kilku masonów, to tylko nowa, fascynująca badacza atrakcja. Któż ośmielił się twierdzić, że szczegóły powyższe rzucają jakiś cień na współczesny wydział teologiczny lub dzisiejszą kapitułę wileńską?! Dlatego do zagadnienia józefinizmu w Wilnie podejście badacza winno być nie polemiczne, jak u dr. Worotyńskiego, lecz wyłącznie historyczne. Oczywiście, byłoby daremnie

szukać, kto, gdzie i kiedy z ówczesnych profesorów teologii w Wilnie powiedział z katedry, że jest wyznawcą systemu potępionego, i dałby się tak przyłapać na gorącym uczynku. Właśnie nie najmniejszą cechą józefinizmu stanowić musiała pewna konspiracyjność. Zresztą to, co późniejsi historycy Kościoła określili mianem józefinizmu, było u nas za czasów Seminarium Głównego jeszcze w stanie dość płynnym.

Broniąc swej tezy, dr. Worotyński stanowczo przecenia świadectwo bpa Ludwika Zdanowicza, który pomawiany przez całe Wilno i diecezję o usposobienie prorządowe*), nie mógł inaczej wypowiedzieć się o swoich dawnych profesorach, niż to uczynił w rozmowie w historykiem J. Bielińskim. Jednocześnie niedocenia on rzetelności, ostrożności w sądach i niezrównanego zżycia się z przeszłością diecezji wileńskiej ks. prał. J. Kurczewskiego, który długie dziesiątki lat śleczął nad tem, nad czem doktoranci głowią się najwyżej lat kilka.

Gdy chodzi o dzieje kasaty Unji religijnej na Litwie i Białorusi, to oczywiście żaden badacz nie pominie żadnych prac odnośnych dr. Walerjana Charkiewicza, czy jednak wskazywanem jest bezkrytycznie pisać się na wszystkie wywody ostatniego?

Jeden z najświetlejszych kapłanów polskich o. Piotr Tadeusz Rzewuski nazwał Józefa Siemaszkę i jego wystąpienie „rewoltą ruskiej duszy” przeciw zaiste opłakanej sytuacji Cerkwi gr.-katolickiej, która od Synodu w Zamościu pewnym krokiem zmierzała coraz bardziej do tego stanu szczątkowego, w jakim się znajduje obecnie obrządek ormiańsko-katolicki, który nie dziś, to jutro zniknie, przystosowując się do obrządku łacińskiego. Zbyt głębokich podstaw religijnych b. cesarski uniwersytet w Wilnie, jeśliby i chciał, nikomu dać nie mógł, już choćby dlatego, że ani wolterjanizm, ani hasła wielkiej rewolucji francuskiej nie były jeszcze w kraju naszym całkiem wyżyte.

Dawał zato uniwersytet wileński swoim wychowankom niezrównaną szkołę konspiracji, jako że był siedliskiem tylu organizacji o charakterze całkiem lub naogół zakonspirowanym. Pod tym względem Józef Siemaszko okazał się nader pojętym uczniem i wykorzystał naukę konspiracji w pełni.

Do pracy omawianej dołączono w końcu dokładny wykaz kleryków Seminarium Głównego w Wilnie, wykaz nazwisk, wreszcie niemieckie streszczenie. Pewnym brakiem monografii, jest pominięcie zwykłego podziału całości na części, tomy, chociażby I i II. Nie obchodzi to zupełnie recenzenta, zmartwi jednak i utrudni pracę sumiennego bibliografa.

Vigilans.

Florowski A. *Le conflit de deux traditions — la latine et la byzantine — dans la vie intellectuelle de l'Europe Orientale aux XVI—XVII siècles.* Praha 1937.

Profesor wolnej wszechnicy rosyjskiej w Pradze A. Florowski, autor większej pracy naukowej o wpływach kulturalnych Czech na kraje ruskie, interesuje się specjalnie zagadnieniem oddziaływania kultur, wzgl. cywilizacji, zachodniej na wschodnią. Omawiany tu szkic jest odbitką z „Rozpraw” sekcji nauk filozoficznych, historycznych i społecznych.

Terenem, gdzie przedewszystkiem starły się kultury łacińska i bizantyńska, były w w. XVI i XVII

*) Por. źródłowy życiorys arbpa Karola Hryniewieckiego pióra ks. kan. L. Żebrowskiego, drukowany przed laty kilku w wileńskich „Wiadomościach Archidiecezjalnych”.

Ukraina i Białoruś. Przynieśli je tutaj wychowankowie szkół łacińskich na Zachodzie, acz Grecy z pochodzenia, Maksym Grek i bracia Likudowie. Już w w. XI i XII ziemie ruskie poznały przez lekturę ksiąg bizantyńskich, przynajmniej z imienia, Platona i Arystotelesa. Dla jednych ci greccy mędrcy byli heretykami i pseudofilozofami, dla drugich poprzednikami Chrystusa i chrystyanizmu. Znalazło to nawet swoje odbicie plastyczne w owoczesnej sztuce cerkiewnej na północy. Reakcją przeciw infiltracji wpływów zachodnich na Rusi było wyraźne lekceważenie całego do robku kulturalnego Zachodu, nie wyłączając samego szkolnictwa, jako takiego.

Wyrazicielami tego prądu byli co dziwniejsza nie tylko kmiotkowie ukraińscy i białoruscy, lecz też ludzie niewątpliwie wysokiej naówczas inteligencji, jak znani księża Andrzej Kurbski, Jan Wszeński (właściwie Wiszeński, bo tak się nazywający od galicyjskiej miejscowości Wisznia) i in. Ostre padały wtedy słowa na latynizm, katolicyzm..., najwyższe za to pochwały wynosiły ponad wszystko świętą prostotę Wschodu. Mimo wszystkiego jednak zwyciężyła w końcu kultura i tradycja Zachodu, w czem dużą rolę odegrała słynna akademja Mohylańska w Kijowie. Ta przebudowa ideologiczna nie została też bez wpływu na ustosunkowanie się ideologów bizantyzmu do takichże latynizmu.

Wywody prof. Florowskiego cechuje głębokie znawstwo przedmiotu, jasność układu i dostojność języka. Przypisy są tyleż ciekawe, co i sam szkic. Rosyjskie *resumé* udostępnia pracę szerszemu kołu.

Pozwolimy tylko zwrócić uwagę szanownego autora, że jednak stosunek Wschodu do Platona a także do Arystotelesa, jak też oddziaływanie obu filozofów na świat prawosławny i ziemie ruskie, nie były wcale identyczne. Wpływ Platona na teologję Wschodu kwantytownie bije mocno oddziaływania Stagiryty, który zato odegrał się na Zachodzie, gdzie jego kult swego czasu był nie tylko przemożny ale i bliski już form monstualnych.

Gdy znowu mowa o błogosławionej prostocie, którą słusznie Wschód chlubić się może w swoich świętych, starcach i „jurodiwych”, to należy pamiętać, że nie była ona też wcale obcą Zachodowi, gdzie znalazła swój wyraz w św. Franciszku z Assyżu i pierwotnym franciszkanizmie.

Wat.

Mierzyński Zdzisław dr. *Wybrane żywoty ksiąg Kościoła Polskiego w okresie rozbiorowym*. Kraków, 1937.

Jakiś doktorek galicyjski — znany takie typy z „Nowych Aten” Adolfa Nowaczyńskiego — skreślił na poczekaniu broszurę powyższą. Rzecz nawskroś tendencyjna, a szyta niemi białemi. Np. dla dr. Zdz. Mierzyńskiego istnieje tylko *Kościół Polski* (!), a jedynie godnymi kapłanami jego są księża Kollontaj i Staszyc, którym sutanna właściwie tylko przeszkadzała, reszta zaś duchownych, od Mieszka i Dąbrówki do upadku Rzeczypospolitej, to urodzeni szkodnicy i tylko.

Słowem szkoda słów na omawianie takiej elukubracji. Wynotujemy tylko dwa ciekawe dla badaczy cmentarzy wileńskich szczegóły. Otóż biskup inflancki Józef Kazimierz Kossakowski (1738 — 1794),

jak wiadomo, został stracony w Warszawie. „Ciało biskupa Kossakowskiego później było myte i przywiezione do Wilna, gdzie w podziemiach kościoła Karmelitów złożone”. Wyłania się tu kwestja, w jakim Kościele został on pochowany: w Ostrobramskim? u Wszystkich Świętych? u Św. Jerzego? za Wilją?... Wszędzie bowiem przy świątyniach wymienionych byli Karmelici Bosi lub Trzewiczekowi. Brat powieszzonego biskupa hetman Szymon Kossakowski zawisł znowu na szubienicy, po wybuchu powstania Kościuszkowskiego, 25.IV.1794 w Wilnie, poczem „ciało zdjęte z szubienicy, bez trumny zawieszono na cmentarz św. Szczepana i zakopano niedość głęboko, tak że je psy wyciągnęły i rozszarpały”. — Ileż tajemnic jeszcze kryją podziemia naszych kościołów i mogiły naszych cmentarzy!...

Wat.

Pod adresem recenzenta.

W Nr. 2 „Przeglądu Wileńskiego” z d. 15 kwietnia r. b. znalazłem recenzję mojej książki o PPS. w Grodnie. Jestem recenzentowi bardzo wdzięczny za słowa uznania, tem wdzięczniejszy, że znalazłem zrozumienie i dobrą wolę, czego niektórym; publicystom wileńskim brakuje, jak np. p. Charkiewiczow ze „Słowa”.

Co do uwag rzeczowych recenzenta, to mam do powiedzenia:

1. Nic a nic nie wiem o Mierkowskim, choć jako jeden z kierowników ruchu mógłbym o nim wiedzieć. Dobrze znałem obu Mierkowskich: Jana i Władysława, gdyż Jana w r. 1898 latem uczyłem w ich majątku Ksawerowie w pow. Słonimskim. Obaj byli w gimnazjum, poczem Władysław był w ll. 1910—1913 na uniwersytecie w Moskwie. Ale w ruchu naszym w Grodnie żadnego udziału nie brał.

2. Cypkin — był to wesoły, trochę rozbrzykany chłopak. Trzymał się nas, potem przeszedł do „Bundu”.

3. Czy jestem „wolny od tendencyj wszechpolskich” (to terminologia stara, obecnie już nie używana) i czy „zadałem sobie trud przemyśleć do końca zagadnienie narodowościowe u nas” — to, co do pierwszej odpowiedzi brzmi: „tak”, jeżeli słowo „wszechpolski” nie ma sensu partyjnego, — co do drugiego, także: „tak”. Sprawy narodowościowe interesują mię wogóle, a szczególnie w Polsce. Ale jest to tak obszerny, niewyczerpany temat, że w krótkim wspomnieniu nie warto tego potrącać.

Bronisław Szuszkiewicz.

Sprostowanie.

W ostatnim numerze, w rubryce „Z żałobnej karty” popełniono fatalny błąd drukarski. Wydrukowano mianowicie „Paweł Dąbrowski-Jaksztas”, zamiast „Pratław Dąbrowski-Jaksztas”.

**DRUKARNIA
„KRAJOWA”**

**WILNO, GDAŃSKA 6
TELEFON 203**

